

Jacek Wąsowicz

PRZYSTANEK LONDYN



Jacek Wąsowicz

Przystanek Londyn



Copyright © Jacek Wąsowicz, 2015
Copyright © wydawnictwo JanKa, 2015

Seria **Przystanek**

Wydanie I
Pruszków 2015

ISBN 978-83-62247-41-7

Wszystkie zdjęcia – w tym na okładce – z archiwum Autora

*Wszystkim podróżnikom – praktykom
i teoretykom – których napędza ciekawość
świata.*

Unia Unią, ale życie – na razie poza nią – toczyło się dalej swoim rytmem. Zanim skończył się rok, rytm moich dni ustalił się dość ściśle: piąta rano – pobudka, szósta rano – początek produkcji plus śniadanie w trakcie. Do dziewiątej wyjazd w trasę. Powrót po drugiej, obiad plus pogawędka z Lilką i przed trzecią w domu, chyba że pojechało się do biblioteki na internet lub wstąpiło do wspomnianego wyżej BAR-u. Czasami w drodze powrotnej zrobiło się małe zakupy, by zdążyć przed wieczornymi korkami, a potem, już w domu, toaleta, przebranie się i najpóźniej od piątej czas wolny. Na pogranium na gitarze lub pogaworzeniu z kimś ze współlokatorów schodziło co najwyżej do kolacji i wieczorem nie dało już rady opędzić się od myślenia o przyszłości, a właściwie terażniejszości, dość w tamtym czasie pustej, nawet mimo artystycznych wypełniaczy. Poczucie samotności zaczynało dawać się we znaki.

Kiedy więc w styczniu 2004 roku trafiłem na urodzinową imprezę przygodnie poznanej dziewczyny, z jedną z poznanych tam Polek zacząłem się wkrótce spotykać. Jak na Londyn, nie mieszkaliśmy daleko od siebie, odwiedzaliśmy się więc dość często. Ona też mieszkała z samymi Polakami, tyle że w jeszcze większym ścisku niż ja. Jej pokój nie miał okna, a łóżko – choć pojedyncze – zajmowało tyle przestrzeni, że miejsca wystarczyło jedynie na zsuniecie z niego nóg i wyjście z pokoju. Ale fakt – za swoje lokum płaciła jedynie £20 na tydzień z wszystkimi rachunkami. Nazywała je norką, choć ja preferowałem nazwę bunkier.

Wbrew pozorom nasz związek Pomorzanie ze Ślązaczką nie był wcale nietypowy. Praktycznie wszystkie znane nam pary poznały się w UK. Kiedy jeżdżą do kraju na wakacje lub święta, kluczą między rodzinami jego i jej, uzgadniając, kto kogo kiedy odwiedza, a wtedy niby proste rodzinne wyprawy stają się logistycznymi przedsięwzięciami. Na Wyspy przyjeżdża co prawda sporo par typu on i ona z tego samego miasteczka lub dzielnicy, wiele z nich to dłużej związki, lecz gdy świeżo upieczeni emigranci odbijają się od pierwszej ściany twardszych realiów niż te, których zaznali pod mamim kloszem, z tych tak niby kochających się par już po kilku miesiącach zazwyczaj niewiele pozostaje. Próba ognia bezlitośnie ukazuje brak przysposobienia do dorosłego życia u co najmniej jednego z partnerów. Tym sposobem Londyn staje się świadkiem pełnego cyklu ludzkich przeobrażeń, gdzie para najpierw pączkuje w dwoje singli, ci tymczasowo zasilają szeregi armii wolnych strzelców, by po okresie inkubacyjnym przepoczwarzyć się z powrotem w osobniki do wzięcia. W efekcie miasto pełne jest osób po przejściach, tylko gdzieś tam poprzetykanych świeżynkami prosto z Polski.

Niepostrzeżenie mój krąg znajomych stopniowo poszerzał się o coraz to nowych Polaków. Jacek, przyjaciel przyjaciela z Polski, poznał mnie ze swoimi kręgami, a też akurat mieszkał na Neasden. Ponadto do moich oraz dziewczyny współlokatorów przychodzili znajomi, na proszonych imprezach poznawało się znajomych znajomych, ci pracowali z innymi Polakami, a tamci mieszkali z jeszcze innymi i tak dalej. Do tego dochodziła grupka artystów z kręgu Olgi i tym sposobem do wiosny 2004 roku dorobiłem się całkiem sporej grupy bliższych lub dalszych znajomych. Poczucie osamotnienia i wyobcowania poszło w niepamięć.

A zaraz potem zrobił się maj 2004, pamiętny miesiąc w kalendarzu każdego ówczesnego, a już szczególnie przyszłego imigranta. Oficjalnie nasze wejście do unijnych struktur nazywane jest przystąpieniem do Unii, lecz po tym, co można było zaobserwować w pierwszych dniach maja, bardziej precyzyjnym określeniem byłoby „dopuszczenie” do Unii. Wiara rzuciła się do granic brytyjskiego raję jak do hipermarketu po promocyjne telewizory, wjeżdżając na

Wyspy pierwszym możliwym transportem, czyli 1 maja w sobotę, jakby dla wjeżdżających w niedzielę miało już zabraknąć pracy, bo Brytyjczycy wprowadzili reglamentację stanowisk lub coś podobnego. Niestety, zaledwie kilka miesięcy później niemała część tych euroentuzjastów okazywała się marzycielami, którzy najwyraźniej uwierzyli, że powiedzenie o pieniądzach leżących na ulicy można w przypadku Wysp brać dosłownie. Wielu z nich skończyło jako bezrobotni, oczywiście wtedy jeszcze bez prawa do zasiłku, za ostatnie pieniądze wracali więc do domu z podkulonym ogonem jak marnotrawni synowie. Niestety byli i tacy, którzy pozostawali nie tylko bez środków do życia, ale i bez gotówki na bilet powrotny. Będąc w okolicach dworca Victoria, na którym zaczęła się i moja przygoda z Wyspami, na własne oczy widziałem niemało postaci kulających się na wycieraczkach okolicznych domów. Z dworca byli szybciej usuwani przez straż miejską lub policję, dlatego noce woleli spędzać poza nim, ale w ciągu dnia na niego wracali, by szturmować powrotne kursy polskich autokarów, licząc na ludzkiego kierowcę lub inny łut szczęścia.

Co jednak smutne, nie tylko marzyciele okazywali się oderwani od rzeczywistości. Największy odsetek wjeżdżających wtedy na Wyspy rodaków stanowili albo jedyni żywiciela rodzin, którym w oczy zajrzał głód, albo młodzi bezrobotni, przez ostatnie lata wychodzący ze szkół prosto w objęcia twardej polskiej rzeczywistości. Przykro było patrzeć, jak ci euroentuzjaści z przymusu okazywali się nie mieć żadnego pojęcia nie tylko o realiach szukania pracy za granicą, ale i życia na obczyźnie w ogóle. Polecony mej opiece człowiek, dobry polski fachowiec, gdy meldował się w tanim hotelu razem z kolegami, podając recepcjonistce swój stary, papierowy dowód osobisty, popukał palcem w otwartą na nazwisku stronę, po czym dobitnym tonem oznajmił: „Nazywam się Jerzy Kosobucki”. Po polsku. Co było oczywiste, na twarzy kobiety zaczęło malować się skrajne zdumienie, nie zmaściło to jednak niezachwianej równowagi mego podopiecznego, który – zanim zdążyłem przybyć z pomocą – swoją kwestię powtórzył, tym razem wolniej, wyraźniej i z naciskiem na każdą sylabę: „Ko-so-buc-ki”. I jeszcze dorzucił: „Przez ce”.

Nigdy nie zastanawiałem się, dlaczego witryna ogłoszeń pod POSK-iem nosi przydomek „ściana płaczu”. Odkryć to było mi dane dopiero, gdy na poszukiwanie pracy zabrałem tam trzech rodaków z rodzinnego miasta, jak inni szukających w Londynie swojego szczęścia. Po standardowym przeczesaniu obu witryn przystaliśmy na skraju chodnika, zastanawiając się co dalej. Wokół stali jacyś ludzie, ze strzępków słyszanych rozmów wynikało, że również Polacy, nikt jednak nie zastanawiał się, dlaczego tam stoją, a już na pewno nie wietrzył w ich obecności niczego podejrzanego. A właśnie wtedy od jednej z tych grupek odłączył się młody człowiek o cygańskich rysach, przystanął koło nas i nienaganną polszczyzną zagaił, czy przypadkiem nie szukamy jakiegoś lokum, bo akurat u niego zwolnił się ładny i niedrogi pokój na trzy osoby i jeśli chcemy, możemy z nim pojechać go obejrzeć, a co do ceny to na pewno się dogadamy, przecież jesteśmy rodakami, bla-bla-bla. Mój błąd, że zdecydowaliśmy się tam jechać, a jeszcze większy błąd, że rozdzieliliśmy się i znajomy pojechał ze mną w vanie, zaś pozostała dwójka poszła do wozu młokosa. No, ale ja chciałem być przepisowy i nie wozić ludzi na pace, jak bydło. Skąd mogłem wtedy wiedzieć, że te niewinnie wyglądające tłumki to *de facto* całe szpalery naganiaczy czyhających na emigracyjnie zielonych rodaków.

Gdy wprowadzono nas do środka dużego domu w podlondyńskiej dzielnicy Harrow, nawet znajomy wraz z kolegami – choć zieloni – wyczuli, że coś jest nie tak. Z frontowego pokoju na parterze wynurzyła się obszerna Cyganka i z wykalkulowanym uśmiechem otworzyła drzwi do pokoju od strony ogrodu. Tamtą scenę mam w oczach do dziś: kobieta otwiera drzwi, a w środku – niespodzianka – siedzi jakiś mężczyzna! To lokator – zapewniają na przemian młokos i Cyganka, pewnie jego matka – lokator, który właśnie opuszcza pokój, więc lokal będzie cały wolny i czy się podoba. Patrzymy pytająco po sobie, widać, że nikomu się nie podoba, więc po chwili wzrok bezwiednie kierujemy na człowieka, a ten niby się uśmiecha, ale zachowuje się, jakby był ubezważnowolniony; mówi niby do nas, lecz co rusz spogląda na matronę. Pada cena, wcale nie z tych najniższych, jak obiecywano. Czy mamy zacząć się targować?

Nie wiadomo kiedy w pokoju pojawia się kolejna osoba, tym razem potężny Cygan. Gdy mówię, że pokój ładny, ale teraz musimy się zastanowić, Cyganka porzuca sztuczny uśmiech i rodzinka zaczyna konwersację w swoim języku. Nam robi się słabo. Całą czwórką powoli kierujemy się w stronę wyjścia, gospodarze są coraz bardziej niezadowoleni, a na dodatek w drzwiach staje kolejny młokos, jakby starszy brat pierwszego. O dziwo, pozwalają nam wyjść, lecz przy samochodzie młokos z bratem przybierają już otwarcie roszczeniową postawę, prowadząc rozmowę w stylu: przywieźliśmy was taki kawał, a wy nie chcecie pokoju, to chociaż zapłaćcie za podwózkę, należy się dycha za paliwo!

Tym razem już nie bawiłem się w przepisowość i podczas gdy znajomy próbował ułagodzić młokosów, ja załadowałem resztę towarzystwa na pakę, znajomy doskoczył w ostatnim momencie i już nas tam nie było. A po kilku dniach po znajomym i jego kolegach śladu na Wyspach nie było. Nie przebrnęli przez etap organizacyjny, ja z kolei, pracując w ciągu dnia, nie miałem czasu jeździć z nimi na każde oglądanie mieszkania i każdą budowę, choć tych akurat nie odwiedzili zbyt wiele, jako że z wiadomych powodów spisywali tylko polskojęzyczne ogłoszenia. Skończyli jak wielu przed nimi i wielu po nich: zawiedzione nadzieje, rychły powrót do kraju ze spuszczoną głową, a zamiast zastrzyku gotówki – dodatkowe wydatki. Takich wycieczek widziało się w Londynie dość. Stolica Wielkiej Brytanii to kraina wielkich szans, ale dla szansonistów miejsca w niej brak.

Co do samej „ściany płaczu”, niektórzy mieli z nią paskudne doświadczenia. Znajoma, absolwentka AWF, znalazła tam sprzątanie domu. Ogłoszeniodawcą był samotny mężczyzna w średnim wieku z sąsiedniej dzielnicy. Na pierwszej wizycie pan był bardzo miły, na drugiej, już tej roboczej, też wszystko było okej, facet zapłacił gotówką, ale już podczas trzeciej, gdy dziewczyna odkurzała sypialnię, nagle wszedł, zamknął za sobą drzwi, po czym pchnął ją na łóżko. Tylko dzięki swemu wysportowaniu oraz zimnej krwi znajoma zdołała wyjść z całej tej sytuacji obronną ręką.

Na tle tych ponurych historii jasną plamę stanowi przykład Majki, znajomej mojej dziewczyny, która odłączyła się od męża

i przyleciała do Londynu szorować kible i kelnerować, gdzie po-
padnie. On dołączył do niej po kilku miesiącach, jednak do łopaty
nie poszedł, choćby po to, by dorzucić się do rachunków, ale siedział
w domu, całymi dniami przegrzebując internet w poszukiwaniu
pracy w swoim zawodzie, a był świetnym specjalistą w branży in-
formatycznej. Podziwialiśmy ich jasno i wyraźnie sprecyzowany
plan, a przede wszystkim upór w jego realizacji. Raz czy dwa od-
wiedziliśmy Majkę w przymuzealnej kawiarence, gdzie zasuwała
świętek – piątek, podczas gdy on w domowych pieleszach tkwił przy
komputerze. Chłopak siedział na garnuszku żony prawie cały rok;
wielu znajomych im przygadywało, Majce przypinali łatkę frajer-
ki, jego przezywali paniczykiem, ewentualnie marzycielem. Ale on
tylko szukał i szukał, w przerwach ucząc się angielskiego. Aż po ko-
lejnym miesiącu gruchnęła wieść: Paweł jedzie na interview! Wyna-
lażł firmę; nawet w tamtej chwili nie szukali nikogo, mimo to dzięki
swojemu świetnemu CV został zaproszony na rozmowę. A już kilka
tygodni później oboje wyprowadzali się z ciasnego i drogiego poko-
iku w obskurnym bloku we wschodnim Londynie do wynajętego na
koszt firmy dwupokojowego mieszkania o pełnym komforcie gdzieś
koło Cambridge, niedaleko siedziby firmy. Po roku Majka urodziła
pierwszego dzidziusia.

Choć sam swojego wielkiego snu wtedy jeszcze nie spełniłem,
takie historie utwierdzały mnie w przekonaniu, że sny i marzenia
rzeczywiście się spełniają, jednak na Wyspach dostępują tego za-
zwyczaj tylko ci, którzy sobie na realizację swych marzeń porządnie
zapracują, wszystko wcześniej dobrze rozplanowując. Dlatego nie
chcę słuchać ludzi wciąż tylko narzekających, nie chcę się nawet
nimi otaczać. Dla nich sny i marzenia to tylko puste hasła rodem
z ekranu telewizora, coś, co albo przychodzi samo, na zasadzie łutu
szczęścia, albo przeważnie trzyma się od nich z dala, dlatego i tak
nie warto robić wiele w kierunku ich spełnienia, może tylko tyle,
ile jest potrzebne do utrzymania spokoju sumienia: „No przecież
staram się, ale mam pecha, a tamci to fuksiarze”.

Typowy *corner shop* w trzeciej strefie Londynu. Shalprika to (oczywiście hinduskie) nazwisko właściciela. Sklep, poza podstawową spożywką, papierosami, alkoholem i prasą, oferuje doładowania kart Oyster, najlepszego środka płatniczego za wszystkie rodzaje komunikacji miejskiej, a także obsługę transakcji pieniężnych Western Union, tak popularnych wśród Polaków wysyłających fundusze do rodzin w kraju, a nieposiadających konta bankowego.



Pasaż handlowy na Notting Hill niedaleko słynnego Portobello Market. To z tych sklepów turyści wynoszą oryginalne ubrania, pamiątki czy niecodzienne rękodzieła.



Projekt okładki:
Anna M. Koźbiel

Zdjęcie autora:
Christian Schnürch

Redakcja i korekta:
Janina Koźbiel, Jan Koźbiel

Skład i łamanie:
MJK

ISBN 978-83-62247-41-7

Wydawnictwo JanKa
ul. Majowa 11/17
05-800 Pruszków
694 536 051
wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl
www.jankawydawnictwo.pl